

Rozmowa z premierem prof. Jerzym Buzkiem

Panie Premierze, w roku 2017 obchodzimy wielki jubileusz 5000-lecia Reformacji. Jakie znaczenie ma dla Pana – osobiście – to wydarzenie? Jest Pan protestantem, co rzadkie w katolickiej Polsce...

Jestem. Urodziłem się w rodzinie protestanckiej i na protestanckim Śląsku Cieszyńskim. Protestantyzm to moja przestrzeń duchowa. Dopiero w szkole, po przeprowadzce na Górny Śląsk, zauważyłem, że wokół mnie jest znacząco więcej katolików niż protestantów. I wie Ksiądz Biskup? Nie pamiętam, żeby mnie z tego powodu dyskryminowano, ograniczano, wyszydzano. Nie stawiano mi też żadnych warunków ani w młodości, ani w dorosłym życiu. Ale znam – niestety – sporo przykładów rażącej dyskryminacji ewangelików. Opatrzność sprawiła, że ja sam mogłem bez ograniczenia korzystać z dobrodziejstw wynikających z protestanckiego wychowania i formacji charakteru. To wychowanie dość surowe, nastawione na pracę, służbę, powinności.

A jak ten jubileusz, to 500-lecie Reformacji, które przeżywamy w całej Europie, Pan Premier odnosi do siebie? Czy ten jubileusz wpisuje się w całość tożsamości ewangelickiej, czy też ma dla Pana jakieś szczególne znaczenie?

Ogromne! Dla mnie, dla wszystkich protestantów w Europie i poza nią! Protestantyzm to ważna część mojej tożsamości, bo wiara jest jej fundamentalnym elementem. Ale moja tożsamość protestancka nigdy nie była budowana na zasadzie izolacji czy separacji od katolicyzmu. Po pierwsze dlatego, że nigdy nie funkcjonowałem w kontrze do innych (choć wiele tożsamości tak się buduje – na wrogości wobec czegoś, co obce, inne). Po drugie dlatego, że



Fot. 1. Jerzy Buzek prywatnie...

II Sobór Watykański, który znacząco odmienił oblicze Kościoła katolickiego, bardzo zbliżył te dwa wyznania. Już nie mówiło się o protestantach jako o „heretykach” czy „schizmatykach”, lecz o „braciach w wierze”, choć „braciach odłączonych”. Profesor Karol Karski, teolog luterński, porównuje soborowego papieża Jana XXIII do Gorbaczowa. Papież zachęcał do dialogu, nie interweniował, gdy podczas obrad Soboru pojawiały się bardzo radykalne poglądy czy pomysły. Pozwolił na znaczącą zmianę stanowiska Kościoła katolickiego. Otworzył go. Stąd takie dokumenty, jak Konstytucja dogmatyczna o Kościele czy Dekret Ekumeniczny, które zmieniły relacje katolików do innych wyznań, w tym protestantów. Ja sam przeżywałem przemianę, która zachodziła w latach 1958-1963, w czasie pontyfikatu Jana XXIII. Pamiętam do dzisiaj, jak bardzo w tamtych latach zmieniło się środowisko, w którym żyłem. Jest przecież faktem, że istota wiary chrześcijańskiej, powtarzam „istota wiary”, jest w katolicyzmie i protestantyzmie ta sama. Ten sam fundament, to samo źródło, ten sam Bóg. Kościół podzielił się pięć wieków temu nie dlatego, że Luter chciał zmienić fundamenty, lecz dlatego, że odmawiano wprowadzenia zmian, które należało wprowadzić, aby fundamenty wzmocnić i źródło oczyścić. Wielu widziało niezbędną konieczność takich zmian. I dziś uznaje się ich zasadność, a w każdym razie potrzebę reformy, odnowienia Kościoła. II Sobór Watykański był tego przykładem w XX w.

Jak wielka rocznica Reformacji może przełożyć się na sprawy europejskie?

Z wielkiego podziału zachodniego Kościoła chrześcijańskiego i z późniejszych soborowych prób „leczenia ran” płynie ważna nauka dla nas, Europejczyków, bo sytuacja naszego kontynentu ma dzisiaj nieco zbliżony wymiar do sytuacji Kościoła sprzed 500 lat. Mamy w Europie ten sam fundament, ten sam system wartości: kultura grecka, prawo rzymskie, wartości judeochrześcijańskie, mówimy jednym głosem o prawach człowieka i obywatela. Równocześnie mamy nie najlepiej zorganizowaną instytucję, która ma to wspierać i tego wszystkiego bronić – naszą Unię Europejską. Coraz więcej osób mówi o potrzebie reformy. I słusznie. Ale ona musi być wspólna i dotyczyć wspólnej przestrzeni, a nie tej partykularnej, narodowej. Tymczasem rządy narodowe mają coraz więcej oczekiwań i stawiają coraz więcej żądań artykułowanych z punktu widzenia potrzeb doraźnych, politycznych, partyjnych lub zgola z powodu następnych wyborów parlamentarnych. Wiem o tym, doświadczałem tego, gdy jako przewodniczący Parlamentu Europejskiego przez 2,5 roku apelowałem na Radzie Europejskiej do prezydentów i premierów o spojrzenie wspólnotowe, europejskie na problemy, które nas wszystkich gnębią. Choć odczuwamy je, oczywiście, bardzo różnie w poszczególnych krajach. Takie do-

rażne działanie może doprowadzić tylko do jednego: do podziału Europy, podobnie jak to było z Kościołem w okresie Reformacji. Ale przecież mamy już tę naukę za sobą, mamy też sprawdzone metody w dochodzeniu do ekumenizmu. Dlaczego nie czerpać z doświadczeń II Soboru Watykańskiego? Oczywiście w ich świeckim wymiarze.



Fot. 2. Jerzy Buzek i Jacques Delors – dyskusja o kryzysie strefy euro (2011)

Mysli Pan, że to możliwe wobec kryzysu tożsamościowego Europy, o którym tak wielu mówi: mamy Brexit, problemy Grecji i Francji, to jest zauważalne. Pełnił Pan jedną z najważniejszych funkcji w Unii Europejskiej – stąd odważyć się zapytać – czy nasz ewangelicyzm, nasz etos i ten jubileusz ma jakieś znaczenie dzisiaj dla Europy? Czy ten jubileusz 500-lecia Reformacji może wnieść coś pozytywnego, czy raczej jest to tak naprawdę dla ogólnoeuropejskiej debaty marginalna sprawa?

Jubileusz Reformacji można traktować jako przestrożę przed rozpadem, który może się pojawić wtedy, gdy ustaje rozmowa, współpraca, wspólne działanie, a cele stają się nieprzejrzyste, nawet przy jednolitych aksjologicznych fundamentach. 500 lat temu Kościół milczał i troszczył się o własne interesy. Jego samozadowolenie zbudowane było na przekonaniu, że skoro trwa tysiąc pięćset lat, to będzie trwał w niezmiennym stanie wiecznie. Ale co dobre przez tysiąc lat, nie musi być dobre na zawsze. Kościołowi trzeba było zmian, odświeżenia wiary, uczynienia jej bardziej żywą, bezpośrednią. I dlatego to, co proponował Luter, cieszyło się tak wielką popularnością wśród wielu chrześcijan.

Myszę, że jednak 1200 lat z tych, które Pan wymienił, bo pierwsze 300-350 lat to był początek, zupełnie inny kontekst tego pierwotnego chrześcijaństwa i później 1200 lat mariażu tronu i ołtarza, co nymagało rzeczywiście wielkich zmian.

Początek wiary to było jej ugruntowanie i obrona w obcym świecie. To widać w pismach ojców Kościoła, a najbardziej chyba w listach św. Pawła. One są tak żywe, tak niezwykle! Skoro już mówimy o analogiach politycznych, przypomina mi to początki Solidarności. Wszędzie tworzą się związkowe organizacje, ale nikt nie wie, jak działać, co wolno, czego nie, o co walczyć, co odpuścić. W Polsce ludzie jeździli do Gdańska, do Wałęsy czy innych przywódców. W świecie chrześcijańskiego świtu ludzie jeździli do św. Pawła, a on odpowiadał listownie: czy płacić podatki, jak traktować żonę czy męża, czym jest miłość, a czym nadzieja. Potem w czasach osiadania doktryny na trwałym gruncie, umacniania się wiary i instytucji religijnych, zagrożeń było coraz mniej. Kościół się stabilizował. I świat wokół również; nie było takiego rozwojowego pędu jak później: komunikacja była nieśpieszna, informacja nie miała swoich kanałów dystrybucji, takich jak druk. Podróż z jednego krańca kontynentu na drugi trwała niemal rok. Dziś dawnych kilkaset lat możemy zamknąć w jednym dziesięcioleciu. Ale akurat w czasach poprzedzających Reformację sprawy uległy znacznemu przyspieszeniu. Dzięki chrześcijaństwu rosła świadomość, następowało upodmiotowienie ludzi, kościoły pełniły funkcje komunikacyjne, zakony – edukacyjne, ludzie coraz więcej podróżowali. W 1492 r., gdy Kolumb odkrywa Amerykę, świat się otwiera, ulega gwałtownym przemianom, a ludziom nie wystarcza już rola posłusznych i karnych owieczek. Chcą zmian, chcą być aktywni, chcą współuczestniczyć. Mają własne zdanie, mają wątpliwości do sprawy odpustów, do podejścia Kościoła do problemu grzechu i odkupienia, do mieszania tego, co polityczne z tym, co kościelne, widzą też hipokryzję. Pojawia się Luter i jego żarliwa wiara, czystość i wola zmian pada na podatny grunt.

Upodmiotowienie ludzi, wymiana informacji, pojawienie się druku, to spowodowało, że podróż informacji, jak Pan wspominał, z jednego krańca Europy na drugi nie trwała już rok tylko kilka, kilkanaście tygodni. Kilka miesięcy po wystąpieniu Marcina Lutra mamy pierwsze ewangelickie kazania w Gdańsku, dominikanin Jakub Knade głosi kazania w duchu ewangelickim, to się podoba, to wciąga. Chciałbym spytać, jaki aspekt ruchu reformacyjnego, właśnie w skali Europy, uważa Pan Premier za najważniejszy: czy właśnie to upodmiotowienie ludzi, czy są może jeszcze inne wymiary?

Nabożeństwa w języku ojczystym, to znaczy u nas w języku polskim i dostęp do Biblii, czyli do Słowa Bożego, dla każdego chrześcijanina. To był podstawowy element upodmiotowienia ludzi, to był klucz. Ksiądz Biskup, jako

młodszy, tego nie pamięta, ale ja to obserwowałem, bo chodziłem z kolegami i kolegami do kościoła katolickiego, w którym wszystko odbywało się po łacinie, za wyjątkiem kazania. Natomiast nikt w domu nie czytał Biblii, bo w zasadzie było to – trudno powiedzieć, że tępione – ale nie było to powszechne ani nie było to jakoś akceptowane, a na pewno nikt nikogo do tego nie zachęcał. Ludzie mieli dostęp tylko do interpretacji, nie do źródeł. A wiem, co to znaczy dostęp do źródeł. U mnie w domu czytano Biblię, czytano ją w czasie ewangelickich nabożeństw rodzinnych w niedzielę, czytano ją po polsku! Kazanie było również po polsku. To zawsze budziło we mnie poczucie prawdziwego uczestnictwa w sacrum, nie jako widza, ale jako pełnoprawnego uczestnika, kogoś równego i równie odpowiedzialnego jak pastor. To był wielki krok w kierunku rozumienia, współuczestnictwa, upodmiotowienia – de facto – demokracji. Bo chodziło nie tylko o emocjonalne przeżywanie wiary, ale także intelektualne i to przez każdego, kto, czytając Biblię, ma bezpośredni dostęp do tajemnicy wiary.



Fot. 3. Wykład podczas konferencji upamiętnienia Memorandum Wschodniego EKD (Warszawa, 2015)

Co jeszcze jest ważne dla Pana w protestantyzmie?

Etos pracy. Praca jako obowiązek i powołanie, jako wymiar naszej zasługi i naszego człowieczeństwa tu na ziemi. To podstawa. Dla mnie zawsze było to oczywiste. Moi koledzy na studiach myśleli inaczej. Ja uważałem, że praca ma wartość sama w sobie, a oni uważali, że praca to konieczność. Trzeba pracować, by żyć, ale nie żyje się przecież dla pracy – tłumaczyli mi. Miałem z nimi długie dyskusje na ten temat, może nie *stricte* teologiczne, ale ja opierałem swoje

argumenty na Biblii, na doświadczeniu środowiskowym i rodzinnym. Miałem to we krwi – oni nie. Ale teraz to się zmieniło! Mam wrażenie, że te trzy elementy, które wniosła do chrześcijaństwa Reformacja: język ojczysty w kościele, dostęp do Słowa Bożego i apoteoza pracy są dziś uznane za ważne nie tylko przez protestantów, ale i katolików.

I stąd następne moje pytanie: jeden z niemieckich teologów XX wieku, mój boński nauczyciel ks. Martin Honecker, sformułował 20 lat temu, właśnie w kontekście przemian ekumenicznych, prowokacyjne pytanie, które stało się tytułem książki, a zarazem impulsem do debaty: Czy ogień protestantyzmu już się wypalił?

Coś w tym jest. Ale wypaliły się też wojny, różnice, wielkie spory religijne. Pozostało zaś coś wspólnego, trwałego. Moja córka, zawsze bardzo wrażliwa i od dziecka po prostu mądra, wyważona w swoich sądach i ocenach, mówiła mi jeszcze w szkole: „Wiesz tato, to jest cudowne. Najpierw jadę do Dziegiełowa i przez 8 dni słucham wykładów, słów Pisma Świętego, modlimy się, ewangelizujemy (po protestancku). Potem 2 tygodnie spędzam na Oazie, gdzieś w okolicach Żywca czy Nowego Sącza, chodzimy po nocach, z góry na dół, klęczymy, śpiewamy, układamy tkaniny. Jesteśmy bezgranicznie wzruszeni, płaczemy, nie możemy zasnąć do rana, bo takie to są emocje. To cudowne – mam jedno i drugie i dla mnie to jest prawdziwa wiara”. Miała rację. Chrześcijańska wiara jest jedna, choć ma wiele twarzy. Potrzebuje intelektualnego rozumienia i gorących emocji. Moja córka wiedziała o tym 25 lat temu.

To są te różne kręgi tożsamościowe – wspomnieliśmy o Pana europejskiej drodze, a czy Pan 25 lat temu przypuszczał, że będzie przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, Europejczykiem par excellence, ale też polskim patriotą, lokalnym patriotą Ziemi Cieszyńskiej? Wspomniat też Pan o swojej przynależności do Śląska, gdzie tak wiele lat Pan spędził – który z tych kręgów tożsamościowych ma dla Pana dzisiaj, Anno Domini 2016, największe znaczenie?

To co powiem, Księżu Biskupie, zabrzmi pewnie sztaampowo i może wydać się niewiarygodne, ale jest niepodważalną prawdą. Wszystkie tożsamości są jednakowo ważne. Nie sposób odpowiedzieć, która jest ważniejsza, tak jak nie sposób rozstrzygnąć, która część Śląska ma większe znaczenie. To przecież jedna wspólna część Europy, która odpadła od Polski za czasów Kazimierza Wielkiego, która była targana wojnami, przechodziła z rąk do rąk i gdzie ludzie do XIX w., przez 500 lat, mówili polskim dialektem, nieco różnym w różnych częściach Śląska, i który to dialekt odkrywali ze zdziwieniem zarówno Miarka, jak i Stalmach, czyli księża katolicki i ewangelicki. Specjalnie wymieniłem tych dwóch, bo Miarka jest spod Lublińca, a Stalmach z Cieszyńskiego – obaj z odległych części Śląska. Na Śląsku oderwanym od Polski przez 500 lat, gdy w oparciu o gospodarkę rodziła się nasza epoka przemysłowa i nasza cywilizacja, mieszkańcy tej ziemi z trudem

utrzymywali swoją polskość. Urodziłem się pod Cieszynem, ale od szóstego roku życia żyję bez przerwy na Górnym Śląsku. W moich kręgach rodzinnych i towarzyskich ani na Zaolziu, ani w Chorzowie, polskość nigdy nie budziła najmniejszych wątpliwości – to zapewne wielkie szczęście, że tak mogłem zostać wychowany i takich miałem przyjaciół, rodzinę, znajomych – jak mógłbym więc w tej sytuacji odczuwać mniejsze znaczenie polskości?



Fot. 4. Wystąpienie w Kościele ewangelickim w Wiśle

Skoro na jednym Śląsku, gdzie się urodziłem, i na drugim, gdzie mieszkalem od dziecka, polskość miała znaczenie kluczowe i była fundamentem. Ci dwaj ludzie, których nazwiska wymieniłem, odkrywali tę polskość w sposób bardzo chyba prosty. Byli edukowani i ze zdziwieniem stwierdzali, że nie muszą znać języka obcego, żeby czytać Mickiewicza, a muszą znać język obcy, żeby czytać Goethego czy Haška. Myślę, że to był najprostszy sposób odkrycia polskości. Przecież narody tworzyły się dopiero w wieku XIX – zaś w wiekach XVII i XVIII ludzie „gadali” jakimś językiem, ale poczucia przynależności do państwa narodowego nie mieli. Myśmy stworzyli naród poprzez język, poprzez spójność kulturową, poprzez poezję, czytana – jak to chciał poeta – „pod strzechami”. Tak się rodziła nasza polskość. Ponieważ ja miałem to dobrodziejstwo, że spotkałem się z tym w jednej i drugiej części Śląska, to dla mnie polskość jest tak samo immanentną częścią mojej tożsamości, mojej przeszłości, jak śląskość cieszyńska czy chorzowska. U mnie jedno wynika z drugiego, jedno jest uzupełnieniem i wzmocnieniem drugiego. No i europejskość. Wszyscy jesteśmy przecież Europejczykami!

Śląskość – polskość – europejskość – to jest dla mnie absolutnie trójkąt równoboczny.

Przejdźmy zatem do Śląska Cieszyńskiego, który dla nas, ewangelików, ma szczególne znaczenie, na którym tak często można Pana Premiera spotkać – widywaliśmy się tam wielokrotnie na różnego rodzaju uroczystościach, zebraniach, panelach dyskusyjnych. Co jest wyjątkowego w tym skrawku Polski, w którym ewangelicy wciąż stanowią siłę napędową, choć już nie większość?

Trudno mi to ocenić, tak jak trudno ocenia się coś bardzo bliskiego. Śląsk Cieszyński, najbliższa mi ziemia, z której wywodzę się całym drzewem genealogicznym odsłoniętym w ewangelickich parafiach aż od roku 1690. Wielu moich przyjaciół z całej Polski mówi o Śląsku Cieszyńskim – chyba nie tylko po to, żeby sprawić mi przyjemność – że to jakiś „inny kawałek Polski”. Zawsze dobrze poukładany, zasobny, schludny, ale i spontaniczny, żywy. Z drugiej strony absolutnie otwarty na innych, tolerancyjny, choć pielęgnujący swoją tradycję i tożsamość. Może tego właśnie potrzeba każdemu europejskiemu regionowi i każdemu europejskiemu narodowi.



Fot. 5. Z ks. Janem Byrtem – sadzenie dębów w ogrodzie Reformacji (Szczyrk-Salmopol)

A co z pobożnością Śląska Cieszyńskiego? Czy od czasów Pana dzieciństwa i młodości duchowość Śląska Cieszyńskiego na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat uległa jakimś zmianom?

Zmian jest dużo. Nie chodzi tylko o bardziej puste kościoły, bo obaj wiemy, że przecież wiara wielu z tych, którzy je zapelniali pół wieku temu niekoniecznie była głęboka i jakoś umotywowana – mogła być też płytka i powierzchowna. Ale dziś gdzie indziej lokujemy emocje. Bogacenie się, komfort życia, beztraska, stają się celem samym w sobie, potrzeby duchowe czy religijne – karleją. Nie mamy na nie czasu, a one tego czasu wymagają. Myślę, że jest to jakieś zagrożenie dla naszej cywilizacji. Przewiduję jednak powrót do świata wartości, który jest nam dany i zadany w Europie, a który ma swoje źródło i siłę w chrześcijaństwie, w Ewangelii. Andre Malreaux powiedział kiedyś, że wiek XXI albo będzie wiekiem religijnym, albo go nie będzie. A przecież chcemy, żeby był. Zmiana pobożności – to jest naturalny proces, europeizujemy się. Śląsk Cieszyński też i to nieuchronnie, co oznacza przyjmowanie także pewnych zewnętrznych standardów. To nie jest złe, jeśli zachowamy szczere przywiązanie również do tych wzorców tradycyjnych, które nas wychowały, które stanowią o naszej tożsamości. Musimy więc opanować nasz zachłanny konsumpcjonizm, hedonizm, próżność, bezmyślność, radykalny pragmatyzm, cynizm i wrócić do Ewangelii. Nie wiem, jak to zrobimy, ale musimy to zrobić.



Fot. 6. Debata podczas Tygodnia Ewangelizacyjnego (Dziegiełłów 2013)

Pozwolę sobie teraz na bardziej osobiste pytanie: jaka była młodość Jerzego Buzka na Śląsku Cieszyńskim, w domu, gdzie spędził Pan 6 lat, później w szkole w Chorzowie i dalej na studiach?

Moje babki, dziadkowie, ojciec, matka, która zmarła zaledwie dekadę temu, byli Cieszyňiakami. Ale ja jestem „synek z Chorzowa”. Wszystkie szkoły, podwórka, zabawy, studia, praca, aktywność społeczna i polityczna wiążą się z Górnym Śląkiem. Historycznie i genetycznie jestem z Zaolzia, a moja mama do ostatnich chwil życia mówiła wyłącznie dialektem cieszyńskim, który ja też dobrze znam. We mnie jest więc mieszanka obu części Śląska i to wielkie szczęście, móc łączyć te dwa kawałki śląskiej ziemi. Bo Górny Śląsk to jest rozmach, taka rubasność i twardość, ale również doświadczenie walki i wielkiej goryczy, która rodzi szczególną zapobiegliwość i poczucie odpowiedzialności, zwłaszcza za pracę, którą się wykonuje i za drugiego człowieka – choćby na kopalni, gdzie zaufanie do innych jest najważniejsze. Ale Górny Śląsk to też poczucie humoru, które uwielbiam. Ja to wszystko czuję, mam to w sobie.

Studiował Pan na Politechnice Śląskiej i potem rozpoczął wspaniałą naukową karierę. Dlaczego wybór padł na chemię? Czy był to wybór pragmatyczny, czy poznawczy? Czy ewangelicki etos był pomocą, czy przeszkodą w realizacji drogi naukowej?

Jest Ksiądz Biskup prawdopodobnie setnym redaktorem, któremu wyjaśniam, że nie jestem chemikiem tylko mechanikiem-energetykiem. Gdy kandydowałem, a potem zostałem Premierem Polskiego Rządu, ktoś odkrył, że jestem pracownikiem Instytutu Inżynierii Chemicznej PAN i napisał: „z wykształcenia chemik” – i tak już pozostało po wsze czasy. To mi nie przeszkadza, bo to też piękny zawód, ale wyjaśniam, jak naprawdę jest. Jeśli etos ewangelicki mógł mi jakoś pomóc w pracy twórczej, to przede wszystkim ze względu na, wspomnianą już wyżej, naturalną i od dziecka wpajaną mi zasadę, że dobra praca jest kluczem do naszego zaistnienia w społeczności.

Nauka była tylko przystankiem w Pana życiowej drodze, a następnym krokiem była polityka, która – jak sam Pan wspomniał – pojawiła się nagle. Jest Pan Premier jednym z kilku najbardziej znanych polskich polityków. To wielki zaszczyt dla nas ewangelików, wielka duma, ale też wielki dla Pana obowiązek i bez wątpienia ciężar. Jak doszło do tego, że wir życia politycznego tak bardzo Pana wciągnął.

Wbrew pozorom nauka i polityka mają ze sobą wiele wspólnego. Zarówno nauka, jak i polityka są nie tylko zajęciem, są powołaniem, a ich uprawianie jest odpowiedzią na głos wewnętrzny. Nauka uprawiana bez powołania staje się tylko przyziemnym rzemiosłem, zaś polityka – bezmyślnym urzędowaniem. Polityk musi być wyczulony na fakty podważające trafność jego ocen, a naukowiec na wyniki sprzeczne z jego hipotezami. Jeśli polityk lekceważy niewygodne fakty, staje się doktrynerem, a badacz – dogmatykiem.

Dla mnie udział w polityce w wolnej Polsce był sprawą bardzo osobistą, wynikającą z historii życia mojego ojca, który był osobą głęboko wierzącą i jedną z niewielu, która po wojnie miała pełne studia politechniczne, po Politechnice Gdańskiej. Zabiegano więc, aby pełnił ważne funkcje, bo fachowcy byli potrzebni. Ojciec nigdy nie wpisał się do partii, bo było to dalekie od jego przekonań,

a także, jak sądzę (bo ojciec zmarł, jak miałem zaledwie 13, lat po wielu przesłuchaniach w UB, choć nie był więziony), chociaż bardzo trudno mówić mi o tym w sposób bezwarunkowy, opieram się na opowieściach mojej mamy i przekazach – również dlatego, że ówczesny system komunistyczny starał się



Fot. 7. Uroczystość nadania doktoratu honoris causa Politechniki Łódzkiej (Łódź 2010)



Fot. 8. Z Lechem Wałęsą podczas Forum

wyeliminować tych, którzy wierzyli albo przynajmniej traktował ich gorzej niż innych. I to było dla ojca wystarczającą przeszkodą, aby taki system w jakikolwiek sposób akceptować. A dla mnie przez wszystkie lata szkoły, potem studiów, potem pracy, gdziekolwiek bym nie był, był to taki niepisany i niewypowiedziany testament ojca: żeby sprzeciwiać się systemowi, który zaprzecza osobowości, zaprzecza możliwościom indywidualnego rozwoju, zaprzecza elementarnej obywatelskości.

Gdy wybuchła „Solidarność” w roku 1980, to moim pierwszym obowiązkiem było zorganizowanie Tymczasowej Komisji Zakładowej w mojej firmie, co nie wydawało się wtedy prostym zadaniem. Pamiętam, jak uginały mi się nogi, kiedy ogłaszałem wszystkim na zebraniu w Instytucie, że taki mam zamiar

i pytałem, kto by do takiej akcji przystąpił. Dopiero gdy okazało się, że niemal wszyscy, to wtedy już zadanie stało się proste. To mnie związało najpierw z Solidarnością, później z jej podziemiem, za które czulem się na Śląsku odpowiedzialny, jako że je organizowałem. Byłem również stałym uczestnikiem ze Śląska i Zagłębia posiedzeń Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej władz podziemnych Solidarności. Byłem tam do roku 1987, kiedy ze względu na chorobę córki musiałem się wycofać. Potem, już w wolnej Polsce, w roku 1997 przyszli do mnie koledzy z Solidarności i zaproponowali kierowanie Komisją Programową Akcji Wyborczej Solidarność. Zgodziłem się. A potem zostałem wybrany do Sejmu i tak to się zaczęło, na pełny etat (śmiech)!

Panie Premierze, kolejne pytanie jest bardzo trudne również dla mnie: czy Europa naprawdę potrzebuje takiego przebudzenia, odnowy chrześcijańskiej duszy, czy też powinna płynąć z nurtem i podkreślać w wymiarze ogólnoeuropejskim jedynie perspektywę uniwersalnych praw człowieka?



Fot. 9. Wkrótce po elekcji na Przewodniczącą Parlamentu Europejskiego (Strasburg 2009)

A czy jedno i drugie wzajemnie się wyklucza?

W moim postrzeganiu – nie. Ale w postrzeganiu Francuzów czy Belgów – tak.

Być może dlatego że jestem Polakiem uważam, że jedno i drugie się uzupełnia, więcej: jest tym samym. Gdzież indziej niż w Ewangeliach znajdziemy fundamenty miłości bliźniego, solidarności, troski o słabszych, które są podstawą praw człowieka? Zapisano je już 2000 lat temu, choć w nieco innej formie. Jak inaczej można je zakorzenić, jeśli nie w religijnej transcendencji?



Fot. 10. Wejście w życie Traktatu Lizbońskiego (Strasburg 2009)

Weźmy przykładowo prawa kobiet. Jeśli sięgniemy do tego, co jest zapisane w Ewangeliach, zauważymy, że kobiety – oczywiście na swoisty sposób, bo był to inny czas i inny kontekst kulturowy – są traktowane niezwykle poważnie, jako fundament naszej zbiorowości, bez kobiet nie ma w ogóle życia, nie ma działania, nie ma nas wszystkich jako zbiorowości. Dzisiaj interpretujemy to jako nowożytną równość praw, ale przecież to jest takie oczywiste! Takie naturalne, jak równość zapowiadana przez Jezusa „Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny ani kobiety, bo wszyscy jesteście jednym”. Dlatego bardzo cieszę się, że nasz kraj jest jednym z pierwszych, który w 1918 r. wprowadził powszechne prawo wyborcze kobiet.

Uczyliśmy się tego długo na kontynencie europejskim, ale w gruncie rzeczy w żadnym miejscu równość nie jest sprzeczna z treściami Biblii. Dla mnie więc odrzucanie tradycji chrześcijańskiej i odzęgywanie się od chrześcijańskiego systemu wartości jest wielkim nieporozumieniem, błędem.

Ale czy nie jest tak, że instytucje europejskie, w ramach owej akceptacji dla wszelkich inności i wzajemnej tolerancji, nie posunęły się za daleko i nie rugują tej tradycyjnej, chrześcijańskiej wizji świata z promowanego aktualnie systemu aksjologii europejskiej? Czy konstytucja europejska nie poszła w tym kierunku za daleko? Czy nie powinniśmy bardziej się o to upominać?



Fot. 11. Jerzy Buzek na ulicach Trypolisu (Libia 2011)

Tak, powinniśmy i wielu w Europie to robi. Powinno być to znaleźć także w konstytucji. Ale równocześnie z jednej strony mamy kryzys chrześcijaństwa, zaś z drugiej strony – trzeba o tym wiedzieć – mamy coś na kształt renesansu. I widać to nawet w Parlamencie Europejskim w postaci choćby wzruszającego corocznego modlitewnego śniadania na kilkaset osób z całego świata. Janek Olbrycht i ja, obaj ze Śląska(!), jesteśmy tam regularnie od początku. Cieszę się, że głos z Polski był zawsze ostrzeżeniem i zawsze przywoływał to, co niezbędne w aksjologii europejskiej: fundament wiary. Ale też – wracając do Reformacji – trzeba pamiętać, że chrześcijaństwo i Kościół nie może być bierny tą biernością, która doprowadziła do buntu 500 lat temu. Zawsze trzeba się zatem przyglądać naszemu chrześcijańskiemu i kościelnemu życiu, czy nie wymaga ono zmian, czy nie wymaga reformy, żebyśmy nie mówili tylko o tym, że oto Europa odwraca się od Kościoła, a Kościół nie ma sobie nic do zarzucenia. Dotyczy to *nota bene* wszystkich Kościołów. Jako ewangelicy podkreślamy formułę *Ecclesia semper reformanda*, czyli że Kościół musi ciągle się reformować, ciągle wymaga zmiany i ciągle dąży do doskonałości. Kościół, o ile nie narusza to jego dogmatycznych fundamentów i prawd wiary, musi być responsywny, czyli wrażliwy na zmiany, na potrzeby ludzkie, na znaki czasu.

Jeśli Pan pozwoli, powróćmy teraz na grunt krajowy, a dokładniej kościelny. Jest Pan bardzo zaangażowanym członkiem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Zadam trochę prowokacyjne pytanie: dlaczego nigdy nie zdecydował się Pan pełnić funkcji członka Synodu Kościoła ani też żadnej innej funkcji w Kościele. Wiemy, że wielu niemieckich polityków skutecznie łączy ogień i wodę, czyli Kościół i politykę? Wymienić można tu np. Richarda von Weizsäckera, ale są też ewangeliccy duchowni, którzy przechodzą do polityki, jak chociażby obecny prezydent Niemiec, Joachim Gauck. Dlaczego Pan nigdy nie spróbował?

W tradycji polskiej, przynajmniej tej, którą znam i szanuję, która wiąże się z moim życiorysem, nie było tego rodzaju powiązań i nie ma ich także w Kościele katolickim. Niech tak pozostanie. My mamy swoją tradycję, Niemcy swoją. Ale też trzeba przypomnieć, że sam Luter wyraźnie oddzielał te „dwa królestwa” i „dwa obywatelstwa” człowieka: jedno duchowe, którego celem jest pobożność i kult Boga, drugie świeckie, które „poucza o powinnościach, jakie musimy spełniać będąc ludźmi i obywatelami”. Źle się dzieje, gdy ziemskie prawo i Ewangelia mieszają się ze sobą w jednych rękach.

Nasz luterński Kościół w Polsce, jak to już powiedzieliśmy, funkcjonuje w głębokiej diasporze, w zupełnie innym kontekście niż Kościół niemiecki, szwedzki czy duński. Ta świadomość diasporalnej tożsamości, szczególnie tu w Gdańsku, jest dla nas bardzo ważna. Jak Pan Premier, w szerszej perspektywie, widzi dzisiaj rolę i miejsce polskiego luteranizmu, ewangelicyzmu w polskim społeczeństwie?

Rola, znaczenie i wpływ – to wszystko ma już miejsce, to się dzieje. Mamy wpływ na to, co dzieje się w Polsce, chociażby przez sporą grupę osób obecnych w życiu publicznym, o których wiemy, że są wyznania ewangelickiego. To w żaden sposób nie ogranicza ich możliwości, nie zamyka przed nimi dróg, przynajmniej na razie! To są osoby wpływowe, choć jednocześnie – użyję takiego określenia – obserwowane. W każdym wywiadzie dotyczącym systemu wartości czy jakichś spraw fundamentalnych, nawiązuje się do ich „inności”, „mniejszości”, do ich wyznania. Ze mną jest podobnie, mimo że jestem z tego skrawka Polski, gdzie Kościół ewangelicki od wieków miał przewagę (liczebną) nad katolickim, czyli był „większością”. Zawsze pada pytanie o to, jak to wpływało na moje życie i w jaki sposób mnie ukształtowało, jaki to ma wpływ na moją działalność w Polsce i w Europie. Ponieważ – nie chciałbym tego przeceniać – ta moja obecność od trzydziestu paru lat w polskiej polityce jest oceniana raczej pozytywnie, więc wyciąga się raczej pozytywne wnioski z tego, że mam korzenie ewangeliczne. Pytano mnie zresztą o to bardzo szczegółowo, kiedy zostałem przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Próbowano się doszukać tego bezpośredniego związku między rodzajem wiary a karierą polityczną, sugerując, że tylko ewangelik mógł zostać przewodniczącym Parlamentu Europejskiego, co było oczywistym nonsensem i nie miało w ogóle nic

wspólnego z rzeczywistością. Aczkolwiek to, że jestem taki, a nie inny, na pewno w dużym stopniu zawdzięczam temu, że jestem ewangelikiem i to też każdy wie.

A jak Pan postrzega działalność naszego Kościoła tutaj? Jak sam Pan powiedział, Gdańsk mógłby być tym miejscem, w którym mógłby Pan zamieszkać. Jak Pan postrzega działanie naszego Kościoła w przestrzeni Trójmiasta i Pomorza?

Mógłbym tam mieszkać, gdybym nie mógł na Śląsku, tylko wtedy (śmiech)! Przede wszystkim uważam, że działalność Kościoła w takim miejscu jest szczególnie ważna. Trójmiasto to okno na świat, niezwykle popularne wśród turystów, historyczne, ważne dla Polski i dla Europy, cieszące się dobrą sławą konferencyjną. Mamy swój kościół w Sopocie, który jest zwornikiem Trójmiasta i Pomorza – w centrum miasta, skromny, piękny, stary. I zarówno koncerty, które się tam odbywają, nabożeństwa, spotkania, o których można czytać będąc w pobliżu sopockiego mołu, a robią to setki tysięcy turystów z całego kraju i z zagranicy, to wszystko ma wielkie znaczenie, choć symboliczne. Przypominamy, że jesteśmy, że działamy i oddziałujemy na społeczność. Dla wielu ludzi, którzy bywają w Sopocie, nasz kościół jest miejscem niemal równie sławnym i znaczącym jak moło. To niemal symbol tego miasta. Ja bezpośrednio nie uczestniczę w życiu Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Trójmieście, ale dawniej, gdy w czasie wakacji bywałem tu długo, bo 5-6 tygodni, za każdym razem w naszym kościele uczestniczyłem w nabożeństwach, koncertach, wykładach, spotkaniach organizowanych nie tylko przez sam Kościół, ale też we współpracy z innymi instytucjami – było to bardzo pouczające, tłumne, wzruszające. Myślę, że to jest najlepszy sposób oddziaływania. I widać to nie tylko tu, ale i na Mazurach. Dobrze działają kościoły w Mikołajkach, w Giżycku, w Sorkwicach... W wielu miejscach na Mazurach, gdzie bywałem, oddziaływanie społeczności ewangelickiej, w latach 60-tych jeszcze bardzo licznej, było znaczące. Ale Sopot to miejsce szczególne. Nasz kościół wciąga tu turystów, ludzi obojętnych.

Jako ewangelicy żyjemy tu w bardzo głębokiej diasporze, stąd tak ważny dla nas jest kontekst ekumeniczny. Jak Pan z perspektywy europejskiej ocenia polski ekumenizm?

Już chyba nie ma problemu polskiego ekumenizmu, on się już rozwiązał, bo stał się faktem. Pewnie dlatego nie mówi się też o nim w Europie, choć to może być związane z polityczną poprawnością, że w ogóle nie mówi się o religii czy religijności. To sprawy prywatne. Choć przecież w Brukseli mamy swoje modlitewne śniadania, o których wspomniałem, wspólne religijne spotkania, gdzie nikt nie pyta, kto jest jakiego wyznania. Odgaduję, że pewnie większość to są ewangelicy, bo tam jest sporo Estończyków, Łotyszy, Finów, Szwedów,

ale są też ludzie z południa Europy: z Hiszpanii, z Włoch, z Francji i ja naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć, kto z nich jakiego jest wyznania. Wspólnie modlimy się, nic nas nie dzieli, bo wiara jednoczy nawet tych o odrębnych afiliacjach politycznych. Ale w kraju też nie widzę specjalnych zagrożeń dla tak rozumianego ekumenizmu czy tolerancji religijnej. Powtórzę: na razie nie widzę i mam nadzieję, że tak pozostanie. Kiedyś były konflikty związane z utraconą własnością kościołów ewangelickich. To dotyczyło kilku miejscowości, przede wszystkim na Mazurach, bo tam było ewangelikom najtrudniej. Dziś, mam nadzieję, wszystkie podobne sprawy zostały uregulowane. Choć rozumiem, że moja optymistyczna perspektywa może się różnić od perspektywy osób bardziej bezpośrednio, codziennie zaangażowanych w sprawy naszego Kościoła ewangelickiego. Dowiedziałem się ostatnio, że wniosek Biskupa KEA w RP, ks. Jerzego Samca, o to, by przyszły rok był oficjalnie rokiem Reformacji został przez Sejm odrzucony. Odmowa nadania obchodom roku 500-lecia Reformacji rangi państwowej boli. Tak jak boli każdy przejaw nietolerancji czy niechęci wobec tego, czego się nie zna, czy nie rozumie, a co przecież jest tak ważne dla wspólnotowego życia.

Na co więc – według Pana Premiera – powinniśmy zwrócić szczególną uwagę w obchodach Roku Reformacji AD 2017? Co powinniśmy my, polscy ewangelicy zaakcentować?

Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: co nam zagraża, jako Kościołowi ewangelickiemu? Nie tylko chodzi o zagrożenia zewnętrzne, obojętnie czy narosłe w naszym kraju, czy w Europie, ale przede wszystkim – co nam zagraża wewnętrznie? Druga sprawa: na co chcielibyśmy i na co możemy wpłynąć? Nie tylko w Polsce, ale i w Europie? Musimy o tym szczerze i otwarcie rozmawiać. Zastanowić się, co nam może zagrozić w trzech wymiarach: nam jako ewangelikom, jako Polakom i jako Europejczykom. A potem: w jaki sposób możemy pomóc w rozwiązywaniu problemów, w jaki sposób powinniśmy działać i oddziaływać, my – ewangelicy, Polacy, Europejczycy? My, polscy ewangelicy, którzy zawsze byliśmy w mniejszości, jesteśmy bardziej wrażliwi na dyskryminację i nietolerancję i bardziej wyczuleni na jej przejawy. Powinno nas to motywować do ochrony słabszych, do budowania pomostów. Myślę, że wielkie święto Reformacji powinno rewitalizować te wartości, umocnić je, odnowić nasze siły do dalszej walki, czy raczej dalszej troski o to, co wspólne, o to, co ważne, co łączy, a nie dzieli.

Jak Pan Premier widzi swoją rolę w polskich uroczystościach związanych z 500-leciem Reformacji. My, w Trójmieście serdecznie zapraszamy do udziału w centralnych, pomorskich obchodach w dniach 18-21 maja 2017. Czy przyjmie Pan zaproszenie do udziału w panelu reformacyjnym w Dworze Artusa w dniu 19 maja?



Fot. 12. Jerzy Buzek i Marcin Hintz podczas wywiadu dla GRE (Gdańsk 2016)

Chciałbym uczestniczyć we wszystkich uroczystościach, na które pozwoli mój kalendarz, związany z obowiązkami posła do Parlamentu Europejskiego, szefa Komisji Przemysłu, Badań i Energii oraz szefa Konferencji Przewodniczących wszystkich komisji, która to konferencja ustala program prac Parlamentu Europejskiego i to we wszystkich dziedzinach, nie tylko w mojej (przemysł, badania i energia). Więc są to bardzo rozległe obowiązki, a jako protestant muszę je skrupulatnie wypełniać (uśmiech) i robię to z zaangażowaniem. Oznacza to, niestety, że nie we wszystkim, co będzie się działo w Gdańsku, będę mógł uczestniczyć, ale będę się bardzo starał. Na szczęście my, protestanci, mamy przestrzeń, w której zawsze możemy się spotkać. To Biblia.

Z premierem prof. dr. hab. Jerzym Buzkiem rozmawiał ks. bp Marcin Hintz